Rok VI. Warszawa-Kraków, 22. Marca 1914. № 71.

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem **Józefa z Rozprzy Krobickiego.**

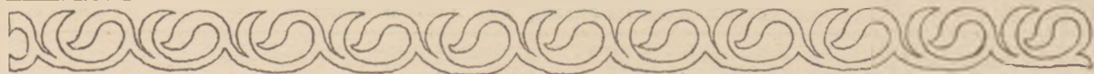
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MAZOWIECKA 3.

PRENUMERATĘ w cenie 2 rb. 40 kop. rocznie — wraz z przesyłką pocztową, lub odnoszeniem do domu — przyjmują wszystkie księgarnie. Cena pojedyńczego numeru: kop. 20.

OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:

* * *





JÓZEF KROBICKI.

Z powodu powieści Konara.

(Z powodu powieści Alfreda Konara: „Młodość panny Mani“.)

Najistotniejszą cechą każdego głębszego talentu jest bezwątpienia to twórcze odczucie utajonej napozór, a we wszystkiem drzemiącej energii, która i w tem, co nam talent ten jawi — dobrego, lub złego — zawsze tkwi potencjalnie jako nieunikniony zaród przyczynowości i skutku. A czem jest ten najwyższy nakaz natury zarówno dla życia wszechrzeczy w ogólności, jak i dla istnienia ludzkiego w szczególności — wyrozumieć łatwo. Jest-to warunek życia wprost zasadniczy, warunek *sine qua non* ruchu wszelkiego, więc tego ustawicznego ścierania się żywiołów, wykluczających się nawzajem, a tak uzależnionych od siebie, jak roskosz i cierpienie, albo światło i mrok, których istnienia samodzielnego nawet i wyobrazić sobie nie można. I istotnie niema takiej plamy na ekranie życia, którejby nie odpowiadała jakaś inna wartość jaśniejsza, której „jasność“ owa plama ciemna właśnie podkreśla tylko, motywuje i tłomaczy jaśniej. A jest-to już owo najpłodniejsze i jedynie twórcze prawo kontrastów życiowych, ów najsilniejszy i podstawowy efekt życia i sztuki, potrzeba walki ze złem i zwycięstwa nad niem, a dalej „urok egzotyzmów“ wszelakich i wszelakich cudowności, najmiłościwiej powołanych do życia przez wielkich proroków i bojowników myśli i wyobraźni.

P. Konar użala się na ten niewygodny dla niego „urok egzotyzmu“, a czyni to przez usta Fabera w tonie usiłującym przekonać czytelnika na str. 60-ej swojej powieści... Ale słuszność jest tu raczej po stronie innego, znanego już dziś autora nie-polskiego — który mówi, że literatura zanudziłaby się sama sobą, gdyby nie ten ożywczy przypływ „egzotyzmu“..., a ja dodam, gdyby nie ten bajkowy egzotyzm odkrywania nowych światów i nowego słowa, które odnaleść można nietylko w „duszach hotentockich“ (patrz str. 190.), ale i we własnej duszy, ale i w tem szarem, marnem środowisku, które z tak „mozolnem wyszukiwaniem nagiej prawdy wprost z modela“ branej (str. 60.)—usiłował nam przedstawić autor omawianej tu powieści.

O wszystkich tych prawdach elementarnych, dających się matematycznie uzasadnić, p. Konar, jakby nie wiedział wcale... I choć pociesza nas „mądrość narodów“, że wprawdzie „*miłe* złego początki“, ale że ostatecznie „niema tego złego, coby na *dobre* nie wyszło“ — u Konara niema tego złego, coby na *złe* nie wyszło i zawsze tylko *złe* są złego początki. Bo wszystko jest w tej powieści złe, szare i brzydkie, a że nieumotywowane należycie, więc niezrozumiałe i nijakie, istnieje tam bez tej wewnętrznej, *własnej* konieczności, a dzieje się jedynie na rozkaz dowolnej chęci autorskiej, „fałszywego i jednostronnego“ patrzenia na życie, małodusznego, ciasnego światopoglądu. A przecież sam poucza nas Konar (na str. 128-ej), że autorowi „wolno wyznawać teorje i doktryny, jakie najbardziej trafiają mu do przekonania, lecz niewolno obserwować fałszywie i jednostronnie“.

Ideologię jego powieści „Młodość panny Mani“ możnaby tu zobrazować dosadnie, powołując się na najbardziej znane — więc niemal sakramentalne już dzisiaj — kanony filozoficzne, już-to współczesne, już-to czerpane ze skarbnicy wiedzy sokratesowej, lub z pod attyki słynnej świątyni starogreckiej, a które-to genialne

skróty myślowe w *indywidualnej* parafrazie p. Konara brzmią, jak następuje: „Kochać — znaczy nie znać i nie rozumieć“ (dwukrotnie: na str. 123. i 186.) — „Tak zwani optymiści—to ludzie, obdarzeni sympatyczną manierą udawania, iż czują się szczęśliwi“ (str. 186.) — „Niema nic wstrętniejszego ponad obłudę. Jeszcze gorszą jest jedynie... szczerość“ (str. 187.)—„W życiu najmędrsi są... głupcy“ (str. 187.)— „Łatwiej jest najsubtelniejszemu psychologowi poznać duszę hotentota, niż swoją własną“ (str. 190.) — „Nawet najmędrsi ludzie nie wiedzą tego, że są... głupi“ (str. 192.) — „utarczka ze zwierzchnikiem biurowym lub porażka zawodowa gnębi cię bardziej, niż zamknięcie Macierzy; a ból spróchniałego zęba uczuwasz dotkliwiej, niż upadek projektu autonomji“, (str. 299.) — „Wszędzie jest źle, lecz w domu najgorzej“... (str. 361.)—i t. d... i t. d... aż po ten końcowy hejnał maniackiej wiary, w którym tkwi już najnaiwniejszy absurd, wprost niemożliwy do pomyślenia, że „może i tu, u nas na ziemi, będzie kiedyś inaczej. Nie będzie ani chwastów, ani kąkoli. Jeno kwiaty. Nie będzie ani złości, ani zawiści, ani brudów: sama dobroć i czystość, nietylko w czynach, lecz w myślach. Tak będzie kiedyś, tam, hen, daleko, przed nami, po upływie stuleci...“ (str. 421.)

A że na wstępnych już kartach swojej powieści uprzedza nas autor przez usta tegoż Fabera, iż „nigdy“ nie pojmie „czemu naród z losami najtragiczniejszemi pod słońcem miałby paradować sztuką stale pogodną“ (str. 63.) — przypuszcza, że wolno mu już dalej raczyć nas taką szarzyzną najzupełniej beztreściwych pojęć, że śnieżne skrzydła „Bóg dał jedynie aniołom i ptakom“ — że wszyscy ludzie stworzeni z tej samej *marnej**) gliny—że instynkty są *złe i zwierzęce*, że dzieci rodzą się „w sposób cynicznie ohydny, dobry dla zwierząt“ — że noc jest „długa i *czarna**)“ a dzienny refleks słoneczny z „cieniutkiego złota *złej**) próby“... i takimi bawić nas konceptami przeważnie faberowskiej muzy:

„Najlepiej jest tym, którzy się wcale nie urodzili, choć takie szczęście rzadko komu się udaje“ (str. 57.) — „Życie ludzkie jest ohydą“ (str. 118.) — „Życie — to pragnienie czegoś, czego się nie ma“ (str. 185.) — „Być tylko człowiekiem — cóż za mała rola“ (str 187.) — „Najpewniejszą obroną cnoty mężatek są... grube i podarte pończochy, które wstyd — pokazywać kochankowi“ (str. 189.) — „Mężowi daje się na obiad tylko pieczeń, kochankowi pieczeń i leguminę“ (str. 189.) — „Młodzi sądzą, że do nich należy cały świat. A ich jest tylko Nowy Świat od placu św. Aleksandra do Kopernika, pełen umalowanych kobiet, strzelających do nich oczyma“ (str, 192.) — „Ludzie tracą na bliższem poznaniu; najsympatyczniejsi są ci, których znamy jedynie z widzenia“ (str 193.) i t d. i t. d.

Że ideologia podobnego gatunku wymownie zaznaczyć się musiała już w samej fabule powieści, łacno już każdy uwierzy.

Bajka ta opowiada „tragiedję“ panny Mani, „która chciałaby“ zrzucić z siebie nazbyt dolegliwy ciężar dziewictwa — „a boi się“.

Już pierwszy młodzieniec — do którego ją zbliża niewinny żart pensjonarski — jakoś nazbyt dojrzały znajduje w niej odzew w ognistej lawie „dyszących pocałunków“, którymi panna Mania darzy brodatego chłopca bez uprzedniego „zamienienia“, z nim choćby „jednego miłosnego słówka“ (str. 17.) - Ale niestety... Ten barczysty Niutek zgadza się zupełnie biernie zostać mężem — jej starszej siostry, której „ptasi mózg z logiką od siedmiu boleści“ (str. 36.) — gadatliwość „zniszczonej po czworgu dzieciach, zwiędłej, zapuszczonej, nudnej blondyny“ (str. 4.) — „wieczne tchórzostwo co do dnia jutrzejszego“ (str. 128.) — „zatruwa życie“ mężowi, „służbie, dzieciom, rodzinie, znajomym, sobie samej od rana do nocy“ (str.

*) **Podkreślenia nasze. Przyp. red.**

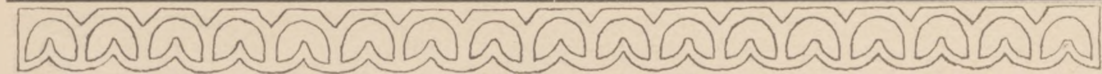
199.). Niutek podczas tego popada w obłęd, niby na tle luetycznem, a z objawami mylnie pomieszanych typów tej choroby. Próbuje „wytrzymałości szelek, zawieszonych na klamce“ (str. 218.) — „chce dzieci na bruk z okna wyrzucać“ (str. 270.)—„wciąż w kółko“ bełkoce o aeroplanie Bleriota (str. 274.)—to znów wydaje mu się, że jest „z Bożej łaski król wszechwładny“ (str. 284.)—aż istotnie dostaje się do Tworek. „A tę karę bez apelacji wymierzył mu kat licho wie dlaczego“ (str. 269.)...

A gdy i z *drugim*, ku któremu parły pannę Manię owe „złe“ instynkty, nie lepiej się stało, niż z pierwszym—i gdy już nawet i ten majaczący literacik Faber „powiesił się na ręczniku u klamki swego pokoju“ (str. 165.) „jedynie z obrzydzenia przed samym sobą“ (str. 294.) — panna Mania w najzwyklejszym gabinecie restauracyjnym oddaje się pierwszemu-lepszemu żydowskiemu dentyście... I zaraz potem pilno jej uciec gdzieś „o sto mil“, znowu w „czarne błoto po pas“ do osady fabrycznej na brudnem „przedmieściu żydowskiego małego miasteczka“, by tam przyłasić się już *na stałe* starszemu „panu Leonardowi“ za lukratywną posadkę w fabryce... A chociaż „trzeba będzie w tym celu wygryźć obecną zawiadowczynię zarządu“—panna Mania niewiele dba o to, bo przecie: „Ha! Trudno! To jest życie‘, (str. 422.) — A zresztą, czyż nie powiedział o niej sam autor, iż „gminne natury“ „odstrasza głębia i subtelność jej duszy“? (str. 370.)

Poprzez te wszystkie nic niemówiące, a krzykliwe okropności konarowego środowiska „urojonych tytanów“ cierpienia, z którem nikt nie współczuje, i „bohaterów w zbroi z papier-maché“ (str. 60.)—wije się brzydka nić różnych niedokładności technicznych. A jest ich wiele... tem więcej, że współczesna technika — a zwłaszcza tych autorów, pod których wpływem tak powierzchownie wypowiada się Konar—władna jest na kilkunastu kartach powiedzieć nam więcej, niż zdołał to uczynić autor „Panny Mani“ na czterystu-dwudziestu-trzech stronicach swojej gadatliwej powieści.

I tak np.: „Panna Mania“ wracając z pogrzebu Fabera, czuje się „zmęczona, jakby po odbytym mozolnym porodzie“ (str. 181.)—Gdzieindziej znowu, mężczyźnie żonatemu, którego widzi po raz pierwszy w życiu, a z którym „cedzi“ rozmowę „tonem konwencjonalnym — bardzo światowym“ jak twierdzi autor — panna Mania rzuca na pożegnanie: „Uciekam do porzuconego towarzystwa, aby nasza rozmowa nie wyglądała na schadzkę“ (str. 353.)—„Po sekundzie obezwładniającego i wstrząsającego dreszczu“ pocałunkowego (str. 67.) przekonuje ją Faber: „Jesteś z tej samej krwi i ciała, co każda pokojówka. Inaczej nie pozwoliłabyś przecież całować się obcym panom poza otwartemi drzwiami“ (str. 67.)--Bynajmniej nie czułostkowa matka panny Mani „pani Sokołowska, oczyściwszy z kurzu po raz ostatni szaty damy z bronzu“ tak romantycznie rozmazgaiła się raptem do starego zegara, że przyciska „na pożegnanie wargi do zimnych ust swojej towarzyszki z lat dziecięcych“ (str. 363.)—a młoda „pani Irena“, ochrzczona „epitetem“ księżniczki „wskutek niezaprzeczonej naturalnej wytworności, jaka ją znamionowała“ (str. 76.) używa takich wyrażeń, jak „wściekliście się“ i najswobodniej w świecie rozmawia z mężczyznami o „homoseksualizmie“ (str. 77. i 78.).

Do wykwintnych cech dzieła nie zaliczyć tu także tej autoreklamy „sióstr Malinowskich“ z najwyraźniej wydrukowanem nazwiskiem Konara, który je stworzył w poprzedniej swojej powieści (str. 65., trzykrotnie na str. 307. i na str. 329.)—a niemniej i tego, charakterystycznego dla omawianej powieści, określenia: „od siedmiu boleści“, stosowanego, jak popadnie, już-to do logiki pani Ziuty (str. 36.), już-to do „subtelnych obserwacji“ panny Mani“ (str. 71.)—już-to do bohaterki faberowskiej (str. 133.). Niepotrzebnie powtarza się również porównanie panny Mani do „piątego koła u woza“ i do „Augusta“ cyrkowego już na przestrzeni 13 kartek (str.



268. i 292.), a wogóle nazbyt wiele mówi się w powieści o tępym i nie tępym bólu serca i o różnych innych przypadłościach.

A że „wady w dziełach artystów wyrastają zasiane przez szatana, jak chwasty“ (str. 188.)—przeto nie ostała się przed tym szatanem faberowskim nawet i gramatyka polska. Bo niewątpliwie po czasownikach o znaczeniu przeczącem, jak np. „nienawidzieć“, należy stawiać drugi, a nie czwarty przypadek (str. 8. i 43.)—na końcu zdania unikać słów jednozgłoskowych (str. 3. od dołu)—drugi przypadek rzeczownika (genetivus rei) stawiany przy rzeczownikach, zamieniać ile możności na przydawkę, zwłaszcza jeżeli tych drugich przypadków nagromadzi się więcej i zamiast „pięty Achillesa siostry“ (str. 2.), lub „w pięcie Achillesa panny Mani“ (str. 81.)—dotykać raczej *achillesowej* pięty siostry, lub *siostrzanej* pięty Achillesa—i pisać: w *achillesowej* pięcie panny Mani—i zamiast „studjów fizjologii“ (str. 12.)—powiedzieć raczej: studjów *fizjologicznych*“.—W gabinecie dentystycznym wyrażać się, że „nareszcie nadeszła kolej“ *na* pannę Manię, a nie „kolej panny Mani“ (str. 373.) — cieszyć się *na* czyjś przyjazd (str. 352.) — niewiedzieć *dlaczego* noc się przepłakało, a nie „z czego“ (str. 15.)—zgodnie z sakramentalnym tekstem biblii „Kto z was jest bez winy“ nie pisać: „bez win“ (str. 95.)—Jeśli nie pisze się gwarą, pisać raczej: *znowu*, a nie „znowuż“ (str. 103 , 140., 287.)—gorączkę *mierzyć*, a nie „konstatować“ (str. 9)—*porozmawiamy*, a nie „podebatujemy“ (str. 2.)—w tej *chwili*, a niekoniecznie, zawsze tylko: w tej „sekundzie“ (str. 67, 104, 114) i t. d.

Zważywszy to wszystko na czułej wadze swoich zamierzeń autorskich, zrozumie p. Konar, jak przykry był nam trud sumiennego i szczerego wypowiedzenia się o jego książce. Spełniając jednak ten obowiązek, czynimy to nie tylko dlatego, aby przeczyć „aforyzmowi“ Fabera, że „artystów“ „drugiego rzędu“ gani się w pobieżnych wzmiankach“ (str. 191.)—ale przedewszystkiem dlatego, aby wykazać, że sama *zdolność* ułożenia jakiej takiej fabuły powieściowej, a choćby i najwierniejszego skopiowania poszczególnych objawów życiowych, nie wywoła w nas jeszcze tej *konieczności wrażeń* i wzruszenia, które z taką łatwością narzuci nam każdy głębszy, samorodny talent.

A że „każda nieumiejętność, tak jak u niezręcznego kuglarza, jest śmieszną“ (str. 399.) — przeto „należy być dobrym polskim uczonym, artystą, szewcem lub dobrze zamiatać polskie ulice“ (str. 190.).



STANISŁAW POTOCKI.

„Czyli się z wiekiem świat pogorsza“?

(Rozprawa o duchu pism Machiawela, z uwagami nad tem zapytaniem: Czyli się z wiekiem świat pogorsza?).

Imie Machiawela iest w uściech wszystkich, chrzczemy niém dowolnie kogo nam się tylko podoba, mianowicie zaś tych, których dowcip, zabiegi, lub rozum, otrzymały iaką na nas korzyść; zgoła imie Machiawela, ieżeli niczego gorszego to przynaymniéy wielkiéy chytrości iest oznaką, i iedno znaczącym wyrazem co politycznego oszusta. Nazywamy Machiawelem Ministra, co zręcznie sprawami Państwa kieruie, nazywamy Machiawelem Posła, co zręcznie interesa dworu swego za

granicą prowadzi, nazywamy nakoniec Machiawelem Xiążęcia, którego polityka korzystnie na iego stronę przeważa i co potęgę swoią powiększa pomnieyszaiąc innych. Wszak sławny Fryderyk II. acz pisał przeciw Machiawelowi, uchodził za naybiegleyszego z uczniów iego, znać dla tego że zręcznieyszy w woynie i w pokoiu od wszystkich współczesnych monarchów, w czynach zbaczał niekiedy od moralnych zasad swoich.

Lecz nie na tych wysokich stopniach kończy się w mniemaniu powszechném Machiawelstwo, rozciąga się ono do wszystkich stanów, i tak np. nie masz ubiegaiącego się o iaki urzędzik, któregoby przez niego podsadzony rywal, Machiawelem nie nazwał. — Pomnę nawet nie bez śmiechu, żem słyszał dwóch faktorów Izraelskiego rodu, co się nawzaiem Machiawelech przezywali. Cóż tedy zjednało ten powszechny odgłos imieniowi Machiawela, i na czém on się gruntuie? gdybym się nie iednego zapytał co go powtarza, ponoby mi na to co innego odpowiedzieć nie umiał, tylko że używa w przyiętém znaczeniu, nazwiska często od siebie słyszanego. Są nawet może tacy co mniemaią, że Machiawel był wielkim ministrem, który kierował sprawami wielkiego iakiego państwa, i wzór doświadczony przez siebie polityki następcom swoim zostawił. — Nie, Machiawel pisał tylko co widział i iest wraz historykiem i prawodawcą panuiącéy polityki za wieku swego.

Przedsiębiorąc rzecz o Machiawelu, chcę z błędu wyprowadzić iednych, drugim, co wiedzą że był tylko politycznym pisarzem, ale co dzieł nie znaią, dać krótkie wyobrażenie o życiu i pismach iego, ciekawym zaś ochronić tęsknéy nieco pracy, w czytaniu naysławnieyszéy, lecz nie naylepszéy księgi iego, to iest o Xiążęciu. Dla czegoż ona nad inne iest sławną? O to chyba dla tego, że wystawia wizerunek przewrotnéy i obmierzłéy polityki, która za czasów iego panowała we Włoszech. Uderzyła wiek, co widział pomyślne na pozor skutki takiéy zgrozy, głęboka niby polityka w tym prawodawczym iéy zbiorze zawarta, a ten przesąd podał wiek wiekowi; tak dalece, iż w dzisieyszym nawet, w którym takowe maxymy, nie tylko ochydnemi, ale nawet nieużytecznemi stały się, w mniemaniu wielu, księga Machiawela o Xiążęciu zamyka w sobie wszystkie polityki tajemnice; kiedy ona iest tylko haniebnym pomnikiem zepsucia i przewrotności czasu w którym napisaną była To podług mnie rzeczywiste twierdzenie, dało mi powód do następnych myśli o tém stopniowanem, i coraz więcéy się szerzącém zepsuciu świata, które tu dość właściwe sobie znaydą mieysce.

Są ludzie niechętni wiekowi swoiemu, którym się nic nie podoba co dawném nie iest, co wszystkie przywary i występki czasowi w którym żyią, wszystkie przymioty i cnoty dawnym przypisuią wiekom. Jeśli niektórym przebaczyć takowe uprzedzenie należy, z powodu uszanowania ku pamięci naddziadów; spytaćby się słusznie innych można: Czyli ta ich współczesnych pogarda, nie iest ukrytą pychą miłości własnéy? Czyli nie posiadaiąc tych drobnych przymiotów, z których podług nich składa się wartość człowieka w czasach dzisieyszych, nie mniemaią posiadać tych wielkich przymiotów duszy i serca, z których się składała u dawnych wielkość prawdziwa? Co do mnie, mniemam, że wyiąwszy niektóre powierzchowne znamiona, ludzie są dziś tacy iakiemi byli odwiecznie, w tém nawet do siebie podobni, że ganiąc czas obecny wielbią dawne. Przenosili rycerze Homera Boskich swoich przodków nad siebie, zayrzał Alexander Achillesa sławie, a w nayświetnieyszych chwilach swoich żałowała Grecya Solonowych i Likurgowych czasów! Co o tém myśleli Rzymianie, uczy nas poeta filozof, mówiąc: „*Aetas parentum pejor avis, tulit nos nequiores, mox daturos progeniem viciosiorem.*" Tak tę rzecz rozstrzygnął Horacy, będzie temu przeszło 18 wieków. Idąc tedy za arytmetycznym postępem zepsucia ludzkiego, przez wieków 18. a iakich 80 pokoleń ludzkich, coraz się pogorszaiących, wzrasta taka massa zbrodni, iżby dziś uczciwego człowieka nie było na świecie; ztąd daléy wynika, iż tenże mocą pogorszaiących się coraz ludzkich występków i zbrodni, nakoniec aż do wściekłości posuniętych, znalazłby się zmienionym w dziką i okropną pustynię. Przecież rzecz się ma wcale inaczéy, zaludniła się i wycywilizowała Europa, a ieśli część iéy utraciła nieco z dawnego blasku swego, daleko większa którą okrywały bory i bagna za czasów Horacego, okrywaią dziś państwa i miasta kwitnące. Charakter zaś moralny ich mieszkańców, porównanych z współczesnemi Horacego przez niego samego, w listach i satyrach iego opisany, ieśli nie iest lepszym to pewnie nie gorszym. Ztąd wnieść słusznie godzi się, że ludzie

zawsze iednemi to iest ludźmi byli, i że iest równowaga złych i dobrych przymiotów, zarówno do wszystkich należąca wieków. Zaburzona niekiedy gwałtowniéy świata spokoyność ludżkiemi namiętnościami, iak morze wiatrami, wraca iak ono do równowagi, gdy te znikną.

Lecz może mi kto powie, nie idzie tu o porównanie Greków i Rzymian, w czasie naywyższego stopnia ich zepsucia z dzisieyszemi narodami, lecz o porównanie cnotliwych przodków naszych z nami niegodnemi ich potomkami. Właśnie sławne dzieło Machiawela, o którem mam mówić, posłuży mi za odpowiedź na ten zarzut, dowodząc: że czasy na wzór których i dla których pisano go, nie były moralnieyszemi od naszych; bo któżby śmiał wśród nas nauczać ludzi, że zbrodnia iest naypewnieyszym środkiem panowania nad niemi, a pod imieniem głębokiego polityka stać się prawodawcą tyranów? Wszak wiemy że Machiawel w księdze swoiéy o Xięciu, zebrał tylko panuiące pod ów czas maxymy, i wystawił czyny dobrze znane w historyi, za pomocą których tyle krain i miast wolnych Włoskich, uiarzmionych przez małych i wielkich tyranów, stały się krwawém igrzyskiem ich namiętności! Zgoła, nie przepisał nic Machiawel swemu Xiążęciu, czegoby mu nie wskazali przykładu naczelnicy zbrodni we Włoszech, sławny Cezar Borgia, rycerz Machiawela, i gorszy od syna oyciec iego Alexander VI.

Kiedy pomniemy że zgroza taka na początku XVI wieku, nawet na tronie Papiezkim osiadła, któréy znać widok, tak czarne na umyśle Machiawela sprawił wrażenie, iż miał wszystkich ogólnie ludzi za zepsutych i złośliwych, co nie raz w dziele swoiém o Xiążęciu powtarza, i daie za przyczynę dla któréy Xiążę także takim ku poddanym swoim być powinien, ieśli paść nie chce ich ofiarą; kiedy daléy pomniemy, że Włochy były wtedy kraiem wzorowym dla całéy Europy, w którym odradzały się sztuki, nauki i cywilizacya po tyluwiekowém barbarzyństwie, i że niemi, że tak powiem, Włochy panowały nad Europą; kiedy zasiągniemy pamięcią, iak mieć chciał Kalimach Bounacorsi, współczesny rodak Machiawela, by królewscy wychowańcy iego rządzili Polską; kiedy nakoniec przypomniemy sobie, co twierdzą obecni świadkowie o Machiawelowskiéy polityce, która się do nas z królową Boną zjawiła; zapewne w tém wszystkiém nie znaydziemy powodów do zaprzeczenia temu, że obyczaie Włoch i naśladuiącéy Włochy Europy, przy swoiém wyyściu z barbarzyństwa, lepszemi nad nasze nie były, i że ich zayrzeć nie mamy przyczyny przodkom naszym!

Dodam tu ieszcze iednę uwagę, która może nayrzetelniéy wskaże, dla czego gorszemi wydaiemy się sobie samym niż w rzeczy iesteśmy. Choć z serca żałuię tych posępnych rozumów, co nigdy nie widzą w ludziach iak tylko ich przywary, wyznać muszę, że przywary nasze są źródłem niewyczerpaném nagany; przecież rad wierzę, dla zaszczytu opatrzności i natury, że złe na które gorzko narzekaią, iest dostatecznie wynadgrodzone dobrem, od którego odwracaią oczy. Walą się na świat z trzaskiem występki, cnoty przemieszkują w ciszy i ustroni. W cieniu domowego życia szukać należy tych pięknych uczynków, tych szlachetnych charakterów, któremi się społeczność zaszczyca, a których przykłady nie są tak rzadkie, iak twierdzą iéy oszczercy. Przyczyna dla któréy zdaie się, że złe przeważa na świecie, ztąd pochodzi, że interes powszechny i interes osobisty, zbiegaią się ku wyświeceniu złego, w głośnem zbrodni poskromieniu, kiedy iest przeciwnie w naturze dobrego, działać z nieiaką taiemnicą. A że wdzięczność osobista, którą cnota nayczęściéy nakazuie, lub zimne zadziwienie które wzbudza, są powszechnie daleko mniéy wydatnemi niż boiaźń i złośliwość zwykle towarzysząca złemu, idzie zatém, iż kiedy dobro prawie nie wychodzi z szczupłego swego zakresu, odgłos złego z trzaskiem szerzy się. Dobro iest podobne do kadzidła, co się bez blasku pali na ustronnym cnoty ołtarzu, który wonią swoią napełnia; złe do prochu, co piorunie zapalony, a huk iego towarzysz klęsk, daléy ieszcze niż klęski rozlega się. Do tego, większa część ludzi woli chwalić zmarłych przodków, którym nic nie ma do zayrzenia, a których się dziedzicem sławy mniema, niż współczesnych, mianowicie rodaków, których sława zdaie się wielu, że ich własnéy uwłacza; ztąd pochodzi że tyle iesteśmy skorzy do nagany współczesnych naszych ile do przodków pochwały, a tym sposobem poniżaiąc szczególnych ludzi, poniżamy na korzyść dawnych, czasy w których żyiemy. Powyższe uwagi nie oddaliły mnie iak mniemam od przedmiotu. Lecz czas przystąpić do człowieka i dzieła co są do nich powodem.

Mikołay Machiawel sławny polityk urodził się w Florencyi roku 1469. z szlachetnego plemienia podług iednych. z pospolitego podług drugich. Lubo wychowanie iego dosyć zaniedbaném było, wynadgrodził mu to dowcip i przyrodzony talent, tak dalece, iż od młodości słynąć zaczął w zawodzie nauk, i stał się iednym z pierwszych twórców dobrego stylu Włoskiego, którym dotąd słyną dzieła iego, iako też iednym z pierwszych wskrzesicielów sceny komicznéy. Leon X. opiekun nauk i sztuk pięknych, komedye iego na własnym teatrze grać kazal, to iest: sławną Mandragorę i Klicyę. — Oprócz dzieł iego politycznych, iakiemi są wyśmienite rozprawy nad pierwszą Dekadą Liwiusza, w których on rozwiia politykę rządów gminowładnych, i oprócz tak znanéy księgi o Xiążęciu, którą złożył w dość późnym wieku, by nią dopełnił polityczny swóy systemat; zostawił on nam historyą Rzeczypospolitéy Florenckiéy, którey wstęp wystawuie obraz, mistrzowską ręką zakreślony, początków rozmaitych państw istnieiących niegdyś we Włoszech; rozprawę o wędrówce narodów północnych, i listy zamykaiące w sobie wiele szczegółów i zdarzeń ciekawych, do których dodać należy rozprawę o sztuce woiennéy Castruccia Castracani, co opanowawszy władzę naywyższą w Luce, gdyby nie śmierć zawczesna, byłby ią i szerzéy rozciągnął.

Machiawel podług iednych obywatel niespokoyny i burzliwy, podług drugich szlachetny miłośnik oyczyzny, wpadłszy w podeyrzenie o wspólnictwo spisku Soderyniego przeciw Medyceuszom, był długo więziony, a nawet wzięty na tortury, lecz stałość duszy iego sprawiła że niczego się od niego dowiedzieć nie zdołano. Wpadł on i późniéy w podeyrzenie o knowany spisek przeciwko Juliuszowi Medyceuszowi, któremu przecież, gdy zasiadł na tronie Papiezkim, pod imieniem Klemensa VII. Machiawel historyą swoię Florencką, na wezwanie iego sporządzoną, przypisał; dzieło zaś o Xiążęciu Wawrzyńcowi II. Medyceuszowi synowcowi Leona X. Papieża(*). Chociaż Machiawel żył wśród ustawnych Włoch i oyczyzny swoiéy zaburzeń, dochował aż do śmierci urząd sekretarza i historyografa Rzpltey Florenckiéy, lecz mimo tego umarł w ubóstwie.

Za czasów Machiawela Włochy były punktem środkowym światła, ztamtąd się po świecie szerzącego, ale oraz kraiem nayburzliwszym w Europie; bo nie tylko każde prawie miasto kraiu tego, walczyło o wolność, z któréy go wielcy i mali tyrani wyzuć usiłowali, lecz krwawe woyny Hiszpanii z Francyą, mianowicie zaś Karola V*go* z Frańciszkiem I*ym* dążyły do całkowitego uiarzmienia téy pięknéy krainy, którą tymczasem niszczyły. Tey epoce przypisać należy, początek polityki odtąd wydoskonalonéy w Europie, która polega na utrzymaniu równowagi między Państwami. Xiążęta Włoscy, mianowicie Papieże i Wenecyanie, naybiegleyszemi się w téy trudnéy sztuce okazali. Burzliwy Juliusz II. i Leon X. następca iego, zręcznie postąpili sobie z Francuzami, zbyt groźnemi tym nawet, co im otworzyli Włochy, a późniéy Henryk VIII król Angielski po zadanéy klęsce Francuzom pod Pawią, niemniéy zręcznie zabezpieczył wolność Europy, przeciw zamachom potężnego zwycięzcy. Świadek tych zdarzeń, ustawny rewolucyy i niedoli Włoch, oświecony doświadczeniem, głęboką rozwagą dawnych historyków, nakoniec własnemi uwagami, Machiawel poświęcił się szczególniéy polityce, i utworzył wspomniane od nas dzieła, z których nayglośnieyszą księga iego o Xiążęciu stała się, acz iest tą co mu naymniéy zaszczytu przynieść była powinna.

Przecież, właściwie mówiąc, Machiawel nie iest pierwszym który wskazał systemat tyranii zamkniętéy w księdze iego o Xiążęciu; wiekami przed nim zakreślił go Arystoteles w polityce swoiéy i w tych krótkich zamknął słowach:

„Królestwo dochowuie się przyiaźnią i zaufaniem, przeciwnie tyraniia gruntuie bezpieczeństwo swoie na nieufności, i z tego powodu sprzyia niewolnikom przeciw ich Panom. Tyran nie powinien otaczać się, iak tylko drżącemi przed nim służebnikami. Strzedz się ma dopuszczać do stołu swego własnych poddanych, a rzadko kiedy cudzoziemców.“ W treści trwałość tyranii, podług Arystotelesa, gruntuie się na trzech głównych zasadach: „Nikczemności i nieoświaty poddanych, wzaiemney

(*) Wawrzyniec II. Medyceusz, był Xięciem na Urbinie, Pezarro i t. d. Syna iego Alexandra utworzył Klemens VII. pierwszym W. Xięciem Florenckim, a córkę sławną Katarzynę de Medicis wydaiąc za Henryka II. syna Franciszka I. osadził na tronie Francuzkim.

ich ku sobie nieufności i niemożności buntowania się i taynego spiskowania.“ Drugi sposób polega, w naśladowaniu powierzchownêm rządu królewskiego, „byleby tyran miał zawsze moc w ręku, i mógł rozkazywać iako pan samowolny, w udawaniu przychylności ku publicznemu dobru, w nieobrażaniu gminu rozrzutnym skarbu szafunkiem i dumnym przepychem, w przybieraniu na się postaci nie Pana ale stróża maiątku publicznego, nakoniec w zniewalaniu umysłów pozorem przyiemności i łagodności, nie zaś ich odrażaniu twardością i dumą. Tyran powinien zalecać niewolnikom, swoim by nie krzywdzili nikogo, kobietom swoim by się nie wynosiły nad inne; powinien się okazywać umiarkowanym w zabawach, szanować publicznie Bogów, i zaszczycać mężów znakomitych cnotami, być rozdawcą pochwał i nadgród, a wymierzenie kar zostawiać sądom. Należy mu mieć tę samę co królowi przezorność, niewynoszenia zbyt wysoko poddanego, albo wynoszenia wraz kilku, ażeby się nawzaiem śledzili i czuwali nad sobą, nie powinien ufać ludziom butnym i śmiałym, a ieśli ich zbyt wyniósł powinien ich zręcznie i nieznacznie poniżać.“

„Niech się nie dopuszcza nagłego im odięcia wziętości, bogactw i władzy niech nie zadaie obelgi nikomu, niech nie podnosi na nikogo ręki. Niech się wydaie poszukiwać kobiet, miłością nie rozzwiązłością ku nim uwiedziony. Niech utrzymuie zgodę między bogatemi i ubogiemi; lecz niech się stara mieć zawsze mocnieyszych po sobie, by w potrzebie mógł ich użyć przeciwko drugim. Niech zachowuie przyzwoitą poduíałość z możnemi dworu swego, a ludowi podobać się stara powierzchowną dobroci postacią.“

(C. d. n.).



Dr. M. NAŁĘCZ-DOBROWOLSKI.

O wielkich twórcach literatury.

(Dokończenie).

„W kilku satyrach dotykał Varro małżeństwa i wysławiał prostotę dawnych stadeł i Rzymianek. Czytamy tam: Przewrotność żony albo trzeba wstrzymać, albo wytrzymać; kto przewrotność wstrzyma, żonę umili, kto wytrzyma—siebie ulepszy.

W innej satyrze znajdujemy mistrzowski opis burzy:

Koło południa nocy niespodziane
Gdy ogniem zdobne szeroko nieb stoki
Gwiezdne jawiły światu malowanie,
Odziane w zimny, wodny zwój obłoki
Zakryły nieba złociste powały,
Ziejąc strugami w śmiertelnych niziny,
A z pod bieguna mrozu się zerwały
Wichry—północy rozszalałe syny,
Miecąc gałęzie i cegły i wióry.
My zaś rozbitki chwiejne, jak bociany
Z osmalonymi żarem gromu pióry,
Padliśmy smętni na lądu polany.

„Jedna nuta przewodnia spaja jako stałe ogniwo szereg prac Varrona, miłość dla Rzymu i jego przeszłości. Jest on jednym z najwcześniejszych okazów tej tęsknoty, za ginącym światem, która za augustowskiej epoki tylokrotnie się znaczy i mianem romantyzmu słusznie nazwaną została. Ale u niego jest ten romantyzm



bardziej rodzimym, niż u późniejszych jego przedstawicieli, ma bowiem Varro w swej naturze coś rdzennie rzymskiego, co wyniósł ze swej sabińskiej ojczyzny. Ze słów jego pojęć zalatuje nas jakieś tchnienie tych *viri antiqui*, dochodzi nas ostatni odgłos starożytnej rubaszności i humoru..... Łączył on z tem nabytki nowoczesnego racjonalizmu na polu filozofii i religii a nawet pewne mistyczne spekulacye, które wtedy popłacały w Rzymie, jak popłacają często wśród starych kultur, które z romantyzmem wybiegają w przeszłość, a z mistycznemi rojeniami za światy .

Ale zasługi treści i naukowe, były wielkie, mieniono go słusznie wielkim pośrednikiem między nauką grecką, przedewszystkiem aleksandryjską, a kulturą zachodnią późniejszych stuleci. To, co pewnego wiemy o dawnej literaturze rzymskiej, zawdzięczamy w wielkiej mierze jego badaniom. Pełno wiadomości o starym Rzymie i jego urządzeniach i życiu, a dalej o wielkich naukowych problemach, które z Grecyi do Rzymu napłynęły i zajmowały umysły, wypłynęło w późniejszych rozcieńczonych dziełach naukowych z Varrona. Chrześcijańscy autorowie, jak św. Augustyn, zwalczając pogańską wiarę, czytywali chętnie religii dotyczące księgi Varrona i: jego „antiquitates divinae“, tak, że w wielkiej walce dwóch wiar i światopoglądów odegrał Varro niepoślednią rolę“ „Obok Varrona wymieniano częstokroć w Rzymie Nigidusa Figulusa, jako drugą chwałę w zakresie nauki..:“ Podobni byli do siebie „wielostronnością nauki i działania...“

Jako człowiek jest Nigidus bardzo ciekawym objawem i typowym okazem teozofa, który w kostniejące i zamierające formy dawnej religii nowe chciałby tchnąć życie przez cud i zabobony. W pismach jego znaczyły się zapewne te dziwactwa, ale z tych pism mamy niestety bardzo drobne okruchy.

. . . .

Piękności greckiej nie osiągnęli Rzymianie, ale osiągnęli coś, co jest na drodze do piękności, a co Rzym „elegantia“, a my wykwintnością nazwać możemy. W ślicznych dyalogach Cicerona mamy tego wybitne okazy Osiągnęli dalej coś, do czego ich wyniosła i energiczna natura się skłaniała, a język się nadawał w pewnej mierze, a t. j. wielką jędrność i siłę słowa i patetyczność nastroju w utworach swego ducha. Stąd poszła lapidarność niezrównana ich przepisów prawnych, moralnych zdań i haseł, stąd dramatyczność w ich historyi. Rzymianie nie wydali wielkiego dramatu, ale mieli znakomitych dramaturgów wśród dziejopisarzy, jak Salustiusa i późniejszego, świetniejszego jeszcze historyka tragedyi dziejowych—Tacyta..

Historya literatury rzymskiej za republiki przedstawia nam dobitnie, jak Psyche rzymska, pierwotnie ociężała i wdzięku pozbawiona, pod tchnieniem Grecyi miękczy się i kształtuje, jak się uskrzydla do coraz śmielszych i udatniejszych wzlotów. W literaturze tej brzmi hasło pracy, które zawsze urabia nietylko talenty, lecz i geniusze, a tkwi nauka głęboka, że praca i jedynie praca ukrzepia i wyzwala myśli, dusze i narody.

. . . .

Cóż mogę dodać na zakończenie streszczanej książki, chyba znów słowa autora, którego w całem studjum o literaturze rzymskiej prowadzi jedynie „miłość starożytności jako rzeczy żywej i życiodajnej.“ Skoro zaś zwraca się do czytelnika we wstępie swego dzieła, jakby z nauką, to czyni to z liryzmem i z wiarą, że będzie zrozumiany i odczuty. „Jeżeli czytelnikowi“ — mówi autor — „przypomnę lata młodości i tych z młodości znajomych, jeżeli w nim obudzę wątpliwość, czy słusznie tym ludziom niegdyś na ławie szkolnej może złorzeczył, a natomiast myśl mu nasunę, że ci starzy przecież są jeszcze żywymi, to mi się ta praca najsowiciej opłaci. A gdyby kto nawet sięgnął po klasycznego autora, to znajdzie w nim swoją



nagrodę przez odnowienie znajomości z lat chłopięcych, sam się odmłodzi i stwierdzi ze zdumieniem, że nie jedno zdanie starożytnych, które mu kiedyś może pustym wydawało się morałem, jest pełnem treści, z prawdy życia się poczęło i wśród błądzeń życia drogę wskazać może."

Przytoczone słowa starczą zamiast długich słów zachęty, aby książka prof. Morawskiego nie w jednem znalazła się ręku.

JAN GRZYMAŁA-GRABOWIECKI.

„O pierwszem spojrzeniu na dzieło".

(Z powodu książki Zygmunta L. Zaleskiego: „Dzieło i twórca. — Studya i wrażenia literackie").

Dokończenie.

Ale oto z drugiej strony pragnie Zaleski przedstawić stosunek wzajemny tych „wielkich" i „mniejszych", pisze zatem: „powtarzamy z entuzyazmem imię, życiorys wodza naczelnego — zapominając zwykle o sztabie generalnym armii — rzeczywistym nieraz sprawcy zwycięstwa", a dalej: „otóż szersze kręgi, zarówno współczesnych jak potomnych, pamiętają tych jeno „żołnierzy silnych" litetatury i sztuki, tych, którzy zatknęli sztandar zwycięski na twierdzy powodzenia*). Zapominamy zwykle, że bez małych, często nieudanych wysiłków, bez ofiar i bez „żołnierzy rannych" niema tryumfu. Geniusz nie rodzi się bowiem z jednego ziarna, które kaprys wiatru rzucił na skałę. Arcydzieło wyrasta tam dopiero, gdzie jest legion dzieł niepełnych i prób poronionych. Arcydzieło tedy—jest zawsze owocem wysiłku zbiorowego, nietylko w przenośni biorąc, lecz dosłownie..." Zachwyćmy powietrza... Pytam siebie, czyli autor nie drwi; lecz nie: „bez robotników literatury, przygotowujących materyał i narzędzia—nie stałoby z pewnością jej twórców". Poważnie tedy mówiącemu poważnie odpowiedzieć należy.

Wysiłek zbiorowy można i należy pojmować jako całokształt środowiska duchowego i materyalnego, w którem żyje i z którego czerpie geniusz. I w tem tylko znaczeniu można arcydzieło uważać za owoc wysilku zbiorowego — można, ale to nie znaczy: należy *wyłącznie* — gdyż poza wszelkimi wpływami rasy, środowiska i czasu na genezę geniusza pozostaje zawsze coś, co się wymyka z przed oka najbystrzejszego z psychologów, z pod szkiełka najmędrszego z mędrców — coś, dzięki czemu geniusz jest geniuszem i tworzy arcydzieła, jak jabłoń rodzi wonne jabłka, a tarnina cierpkie śliwki. Istnieniu owego czegoś, a co ja tak chętnie nazwał-bym pierwiastkiem wrodzonym, nie przeczy nawet Taine w swej teoryi genetycznej i choć niechętnie — uchyla głowy przed tą wielkością nieznaną. A cóż dopiero gdy nie w takiem znaczeniu każe nam Zaleski pojmować termin „wysiłku zbiorowego", lecz „dosłownie". Więc gdzież tu miejsce na moc spontaniczną twórcy, na siłę boską tworzenia? Ma-li ona się ograniczyć tylko do tego, że „organizuje ten wysiłek zbiorowy", ma-li więc twórca być tylko organizatorem?—Toć

---

*) Aluzya do XIII. paraboli Ksiąg Mickiewicza.



nawet dziedzina tak odległa—pozornie, czy istotnie — od sztuki — dziedzina nauk ścisłych — świadczy o przemożnem znaczeniu twórczych jednostek. Tu mrówcza praca zbiorowa większe ma jeszcze, istotniejsze znaczenie, najmniejsza zdobycz nie zginie, każda piędź ziemi zdobyta zbliża, choć karawana idzie przez nieskończoność w bezkresy. A przecież i tu geniusze-olbrzymy jednym skokiem sadzą przestrzenie, przez które mrówki pełzły by lat tysiące, tysiące... Wszak Newton w żelazne swoje prawa okuł światy, wszak Kopernik geniuszem myśli słońce wstrzymał! Można-li mrówkom twórczym więcej przydać wagi, niźli unieść zdołają, odejmując z bark geniuszów? To niesprawiedliwość. Tu się mrówkom krzywda dzieje!

Za jeden z dowodów istnienia Boga uważa Apologetyka chrześcijańska powszechność religii, powołując się na słowa np. Plutarcha, iż „... nie znajdziesz ludu bez Boga, bez modlitwy i ofiary..." jakoteż powszechność wiary w byt rzeczywisty Najwyższej Istoty. Niechże mnie będzie wolno się powołać na wiarę powszechną i we wszech czasach już istniejącą — wiarę w boskie źródło twórczości, czy też wręcz w boskie pochodzenie twórcy. A czyż ten, który skradzione światło z Olimpu darowuje światu nie stoi tyleż wyżej nad przyziemnem plemieniem Epimeteusza ile źródła Hippokrenu nad źródłami choćby ze skał Hyampejskich tryskającemi. Krok już tylko pozostawał twórcom, by uwierzyli w boskie pochodzenie swych natchnień i łacno go przebyli. Stąd owe modlitwy o natchnienie, owe wzywania Muz, od greckich czasów począwszy, aż się stały niemiłym, a koniecznym szablonem, gdy je wieki poczęły powtarzać. Nim to jednak nastąpiło, jakże szczerze, jak bezpośrednio brzmi gorąca prośba jakiegoś nieznanego „składacza" polskiego z XV. w.:

„Pomóż mi święty Dusze twoje chwałę mnożyć,
Bych mógł nieco dobrego ku twojej czci złożyć.
Bez ciebie nic dobrego nie mogę wyłożyć
Ku rządnemu składaniu raczyż mnie sposobić."

Czyż mam wszystkich wymieniać, czyż wszystkich wzywać na świadków, legie całe? A może wystarczy, gdy przytoczę, iż Marmontel, ten sam Marmontel, który w całym tłumie, wraz z innymi, jak d'Alembert, Condorcet, Thomas, Cubiéres, Muralt, wreszcie Voltaire, Mercier *), i tylu jeszcze, zwalczyli Boileau i jego poetykę do tyla, że odmówiwszy mu wszystkich zasług, mianując go tłumicielem sztuki francuskiej, odebrali mu wręcz prawo do tytułu autora „L'Art poétique" której prawdziwymi twórcami byli prawdziwi poeci, jak Racine, Molière, Chapelle i t. d. tedy Marmontel wypowiada zdanie iż „le seul art du sublime est d'être né au sublime **)", zdanie, na które zapewne pisał-by się sam Boileau ***).

W powszechności przekonania wieków, w zgodności poglądów nawet wrogich sobie obozów literackich, w naczelnej doktrynie całego romantyzmu, który dał przecież światu największe imiona, leży ta niezaprzeczona prawda, iż wysiłek twórczy genialnej jednostki aczkolwiek może czerpać, a nawet powinien opierać się na wysiłku zbiorowym, przecież od niego wyłącznie nie zależy i jednym gigantycznym ruchem ramion pchnąć może świat myśli i ducha na nowe tory. Ba! nietylko! Wszak Archimedesowi brakowało jeno punktu oparcia, aby ziemię całą, bryłę, ważącą miliardy ton — jednem pociśnięciem swej ludzkiej dłoni wysadzić z posad.

---

*) Radzi ni mniej więcej, każdemu, co w sobie poczuje talent: „jeter au feu toutes les poetiques, a commencer par celle de Boileau". Du Théâtre—1773.

**) Artykuly w Encyklopedyi XVIII w.

***) D. Manet—La romantisme en France—1912, wypowiada się o Boileau w tej kwestyi: „il croyait aussi à la recessité de „l'astre" pour farmer un poète".

Skądże do wniosku swego dojść mógł człowiek tak ścisły, jak Zaleski? Poprostu popełnił błąd logiczny. Oto obrał najniebezpieczniejszy sposób rozumowania: per analogiam, porównał geniusza literatury i jej tłum szary do wodza naczelnego i sztabu generalnego armii, przepomniał, że porównanie to jest słuszne tylko pod jednym bardzo ostrym i swoistym kątem widzenia użyteczności społecznej szaraczków sztuki i żołnierzy armii—i we wniosek, który wyprowadził dla jednej części swej analogii, wtłoczył jej część drugą. W tem błąd. Przykład dany jest klasyczny i tem ciekawszy, iż poucza jak w miarę oddalania się od punktu odchylenia coraz więcej zbaczamy od zasadniczej prostej i dojść możemy aż do takiego — nie powiem: absurdu, gdyż jednak ten ostry kąt słuszności pozostał — do takiego paradoksu, jak: „arcydzieło wyrasta tam dopiero, gdzie jest legion dzieł niepełnych i prób poronionych".

Na zakończenie przytoczę sentencyę abbé Dubos, autora ciekawej rozprawki „Reflexions sur la poésie et sur la peinture" z r. 1819. — mianowicie: „Les arts et les lettres parviennent à leur perfection par un progrès subit"—a czynię to dlatego, iż ten znów przeocza całkiem bezsprzecznie użyteczną w społeczeństwie rolę mrówek literatury.



JÓZEF KROBICKI

Teatry nasze — i nasi Leszczyńscy.

(„Królewski jedynak" — „Rozstaje" — Bolesław, Jerzy i Honorata Leszczyńscy—Zespół „trzeciej" sceny i jego uzupełnienie — „Teatr Nowoczesny").

Żywiołowy rozpęd powodzenia, jakie zdobyła u nas renesansowa wizja krakowskiego poety, stłumiły nawoływania wielkomiejskiego snoba, żądającego „nowej premiery"...

I zanim z desek pierwszej sceny polskiej zdołano rozzłocić nam serca „Złotemi więzy" „Królewskiego jedynaka"—dziś zrzadka już tylko może on przemówić do nas spiżowem słowem rydlowskiem, intensywną barwą obrazów matejkowskich i wiecznie żywą melodją hejnału z pod wieży Marjackiej...

Gdyż stało się, co na rozkaz snoba stać się musiało w przepisanym czasie...

Oto, zmąciwszy nam poprzód ostatnie przedstawienia „Królewskiego jedynaka" odsunięciem pp. Kawalskiego, Solskiego i Szylinżanki od ich znakomitych ról Hrubajtisa, Gamrata i Lizbety — wprowadzono na scenę „Teatru Rozmaitości" dalszy ciąg fabrykatów p. Krzywoszewskiego, na które, doprawdy, trudno już dziś reagować, tak są zawsze jednakie w tonie i te same...

Tym razem nazywa się to „Rozstaje", a jest najpoprawniejszą edycją tematu na znaną nutę krzywoszewską...

Gdybyż jednak ten popularny, a tak płodny autor zręcznych feljetonów scenicznych zechciał naprawdę znaleść się już „na rozstajnych drogach" i zamiast utartą ścieżą lekkiej, łatwej rutyny poszedł sobie nareszcie, jak to mówią „na przełaj" po przez gąszcz traw i burzanów na odnalezienie jakiejś nowej w sobie wartości!



Och, byłoby to z korzyścią niewątpliwą nie tylko dla niego samego, ale i dla nas wszystkich, którzy ciągle, ciągle czekamy, z roku na rok bardziej niecierpliwie, aby usłyszeć coś takiego, co mogłoby nas wzruszyć, poruszyć, lub choćby tylko zaciekawić żywiej.

W międzyczasie tej martwej naogół przerwy pomiędzy dwoma pierwszem częściami trylogii rydlowskiej musieliśmy jeszcze żegnać starego lwa sceny warszawskiej, p. Bolesława Leszczyńskiego, który rozstawał się z nami w dramacie Przybyszewskiego: „Złote runo“.

Mimo rangi seniora aktorów polskich schodzi on dzisiaj ze sceny w całym blasku tej pełnej, pomnikowej, a po dziś dzień żywej i czynnej zasługi — i chwały, która zresztą przywiązana jest — jak się okazuje — nietylko do jego osoby, ale wogóle do jego rodu- i nazwiska królewskiego.

Bo, nie mówiąc tu jeszcze o młodem orlęciu „Teatru Polskiego“, p. Jerzym Leszczyńskim, który tak świetnie nam zabłysnął w szekspirowskiej roli Marka Antoniusza—proszę tylko wniknąć głębiej i zrozumieć, czem jest—choćby ta pierwsza z brzegu, najnowsza rola p. Honoraty Leszczyńskiej w takiem głupstewku, jak ta „Czerwona maska“ Emila Godard'a...

Toż to twór artystyczny tak doszczętnie wyprany ze wszelkiego „aktorstwa“, że niema w nim ani jednego szczególu, który nie byłby wprost gienialnem współmajsterstwem bezwzględnie wszystkich czynników, jakimi aktor-artysta rozporządzać może, aby przemówić do nas i zwyciężyć!

A czyliż zwycięstw takich nie ma już p. Leszczyńska setny poczet—za sobą?.

Więc choćby z tego względu jest ona dziś bezsprzecznie *pierwszą polską aktorką*..

A mówić tu o tem głośno—trzeba i należy, bo niestety utarło się u nas przekonanie, niczem nieuzasadnione, jakoby ten najlepszy w Polsce zespół t. zw. „trzeciej“ sceny warszawskiej miał być naprawdę teatrem *drugorzędnym*...

Czyżby dlatego, że się nam w śmiechu jawi, a nie w płaczu?

O, nie rozkazujcie wy duchowi gdzie ma wzlatać i kiedy!

Bo z przydaniem p. Śliwickiego, jako znakomitego fredrowskiego „amanta“ i takiej wyjątkowej szczerości artystów, jak np. Roland i Solski, jestem pewien, że np. „Fredry“ nigdzie w Polsce nie zagranoby dziś lepiej, niż na tej właśnie, niby „trzeciorzędnej“ scenie.

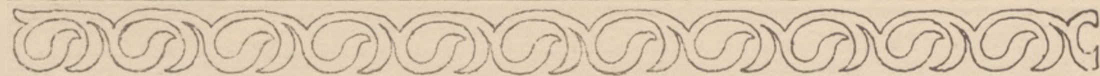
Korzystając ze sposobności, należałoby tylko jeszcze dla uzupełnienia luk *normalnego* repertuaru tej sceny, skrzepić ją stałą pomocą takiego materjału wykonawczego, marnującego się obecnie na innych pomniejszych scenach i scenkach warszawskich, jaki przedstawiają bezwątpienia pp: Łaska, Kuncewicz i Ceremużyński z „Teatru Małego“, a z innych znowu „Miniatur“—pp: Bratkiewicz i Dracowa, których udziałem p. Śliwiński mógłby ożywić operetkę—nie czekając, aż się zestarzeją.

. . . .

Mówiąc o mniejszych scenach warszawskich, należy tu jeszcze wspomnieć — choćby nawiasowo—o t. zw. „Teatrze Nowoczesnym“...

Bo istotnie nad wyraz sympatyczny charakter rzeczy istotnie *twórczej* w dziedzinie „teatru“ mają te niby „wstawki“ — na odpowiedniem tle dekoracyjnem śpiewane tam cykle piosenkowe -- nasiąkłe poezją ludową, niby upojną wonią traw i kwiatów polnych, a które jednak same dla siebie tworzą najzupełniej jednolite i pomysłowo zharmonizowane całostki.

Przedzielają one zazwyczaj, jako dobrze zastosowane przejście od nastroju rozśpiewanej operety do rozbawionej pustym śmiechem farsy, dwie bardzo różne co do gatunku jednoaktówki.



Wyróżnia się w tych „intermezz'ach“ młoda p. Strońska ze swoim repertuarem głębiej odczutych i poprawnie mówionych wierszy, czerpanych przeważnie ze skarbca młodszych, a mniej znanych jeszcze pieśniarzy i poetów naszych.

Na schludną scenę tego teatru jaśniejsza pada smuga także i z innej strony jej kulis niewysokich i odpowiednio zniżonych aspiracji.

A mamy tu na myśli pięknie udaną próbę ujęcia w kadry ściśle pojętego ładu, rygoru i obowiązku—tej najbiedniejszej dziatwy Powiśla, tak niemiłosiernie pozbawionej u nas wszelkich dobrodziejstw kultury i opieki normalnie zorganizowanego społeczeństwa.

Pokaźne grono dziatwy tej tworzy już dzisiaj w tym teatrze *stałą trupę* doskonale wyszkolonych wykonawców komedyjki, pouczającej i lekkiej, jak każda zabawka, a tańczonej i śpiewanej świetnie w każdą niedzielę popołudniu.

Nie podobna jednak nie ubolewać tu szczerze, że... wszystkie, ujemne wartości „Teatru Nowoczesnego“ odkrył nam tak obcesowo ten nieszczęsny „wieczór parodji i śmiechu“—mogący skutecznie rywalizować z najpodrzędniejszym „szantanem“ kawiarnianym!



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAN.

BEZ KOMENTARZY.

Dnia 6-go grudnia 1913 r.—na łamach tygodnika „Świat“—wychodzącego pod redakcją **Stefana Krzywoszewskiego** — pisał **Adolf Nowaczyński:**

Str. 19—łam I. wiersz 18-y od dołu:

„Czułem już wówczas rodzącą się odrazę i antypatyę do t. zw. recenzentów, t. j. jegomościów, siedzących gratis w pierwszym rzędzie, przybyłych tu po to, żeby mnie sądzić, a będących urodzonymi: podsądnymi. Od czasu tej pierwszej premiery, lat temu dziesięć, do dziś dnia nienawiść ta wzrosła do granic obsesyi. Gdyby wszyscy recenzenci mogli mieć jednę głowę (tak, jak wśród wszystkich niema dziś ani jednej), ściąłbym ją własnoręcznie mocno wyostrzoną brzytwą, a w odciętej głowie przekłuwałbym oczy i uszy szpilką od pierwszego-lepszego piękniejszego kapelusza. Recenzent bowiem jest to rzecz niepotrzebna a szkodliwa. Recenzent jest to bezpłatny agitator i mimowolny laudator kinematografów. Recenzent jest to ajent restauracyi nocnych i szantanów, odstręczający i odstraszający poważniejszą publiczność od Sztuki dramatycznej. Recenzenci składają się przeważnie z osobników chorych albo indywiduów o kulturze antropofagów. Recenzent-antropofag w stosunku do Sztuki jest jeszcze znośniejszy, bo jest nieczytany, nieczytelny i niepoczytalny. Istotną *Filoxerą vastatrix* jest drugi specimen. Recenzent-pacyent całą winę swej tabes dorsalis, swej sklerozy, kamieni żółciowych, zapalonej kiszki, marasmus senilis, powiększonej śledziony, nieuleczalnego artretyzmu, spędza na autora, na twórcę. Recenzentowi-pacyentowi radził lekarz: wieczorami siedź pan w domu, nie poddawaj się żadnemu, broń Boże, silniejszemu wrażeniu, staraj się unikać towarzystwa ludzi, którzy pana irytują swą głupotą, swem chamstwem, swą duchową pustką i nudą. Tymczasem przychodzi premiera: recenzent właśnie musi siedzieć obok swoich kolegów, musi z nimi ściskać się, oczerniać tego recenzenta, którego przypadkowo niema, szkalo-

wać autora, plugawić aktorów, wogóle udawać indywiduum myślące i stworzone na obraz i podobieństwo Boga... A przytem jeszcze narażać się na straszne przeciągi z otwartych naprzestrzał (dla wywietrzenia po recenzentach) drzwi sali teatralnej. Wychodzi potem taki biedaczysko z teatru; wszyscy idą do żon, do przyjaciółek, do Rzymskiego, do Angielskiego, do domów prywatnych, a ten musi gnać do swej redakcyi, gdzie już na schodach czeka nań zły metrampaż, ze szpicrutą w ręku, wydziwiający recenzentowi, że się... znów tak spóźnił. I wtedy recenzent-pacyent biegnie pisać... I oto wraz zaczyna sobie owa kreatura przypominać dawne lata . jak to on także napisał ongiś piękny dram, i jak ten piękny dram 10 swojskich scen kolejno wyrzucało oknem, sprzedawało na masło, odsyłało mu.., jak to on także grał kiedyś w amatorskich teatrach, a jakże... i to jak... jak... hoho! I recenzent-pacyent zaczyna *rżnąć*. Zwykli śmiertelnicy rżną już o tej godzinie w domu rostbaef na talerzu, on rznie z furyą autora; a nad nim metrampaż raz po raz śwista szpicrutą, wrzeszcząc ordynarnie: „A spieszże się, bęcwale! a piszże prędzej, gamoniu! Maszyna czeka, ty niedorajdo!... Kiedyż tam będzie ta twoja wypocina cerebralna?“ i t. p. I recenzent-pacyent stęka, ale rżnie, chwyta się raz po raz za śledzionę, ale rżnie, pot kroplisty spływa mu na białawy gors, ale rżnie, traci oddech, oczy krwią mu zachodzą, na języku gorycz, puls przyśpieszony, ale rżnie...

I na drugi dzień rano ci sami, którzy wczoraj wieczorem byli wzruszeni do głębi, dali się wstrząsnąć aż do szpiku kości, współczuli całem sercem, współżyli całem jestestwem swojem, dowiadują się, że asystowali formalnej defiladzie bzdur i niedorzeczności, niedołęstwa i łotrostwa. I ci sami dają sobie już po raz ostatni słowo honoru, że więcej na dramat, jak żywo, nie pójdą. I poważniejsza część publiczności od teatru zaczyna stronić. Bo poważniejsza część publiczności dać obrażać się całkiem słusznie nie chce. I poważniejsza część zaczyna zapełniać kina. Dlaczego? Bo do kina nie wpuszczają *gratisowego* recenzenta. Bo wskutek tego w kinie powietrze jest hygieniczniejsze. Bo w kinie filister może się dać wzruszyć do ostatnich granic, a na drugi dzień nie przeczyta zato za karę, że był chyba mattoidą... chyba matołem.“

Dnia 7-go marca b. r. — na pierwsze przedstawienie najnowszej komedji **Stefana Krzywoszewskiego**: „Rozstaje“ — pp. **Władysław Rabski, Jan Lorentowicz i Karol Łaganowski** — zwykli „recenzenci“ „Kurjera Warszawskiego“, „Nowej Gazety“ i „Gońca“ — nie przyszli wcale, a przysłali jedynie swoich **zastępców**, w charakterze objektywnych reporterów-sprawozdawców.

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

William Shakespeare. — „*Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach*“ - Tom XII: Troilus i Kressyda. — Tytus Andronikus. — Tymon Ateńczyk. — Perykles. — Shakespeare w Polsce. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 420.

„*Czerwony kogut*“—Nowele litewskie w tłomaczeniu Kazimierza Puidy, z przedmową Józefa Weyssenhoffa. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 258.

Stefan Barszczewski. — „*Czerwony Mesyasz*“ — Ze wspomnień włóczęgi. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. - Stron 214.

Jerzy Żuławski. — „*Laus feminae*“ — Część pierwsza: „Powrót“ — Warszawa 1914. — Nakład i druk S. Orgelbranda S-ów — Stron 316.

Artur Gruszecki. — „*Pod czerwonym wirchem*“. — Powieść współczesna. — Warszawa. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Stron 434.

Aleksander Szczęsny. — „*Baśnie wiosenne*“ — Illustracye trójbarwne Z. Plewińskiej. — Warszawa, 1914. — Nakładem „Kasy Przez. i Pom. Warsz. Pomocników Księgarskich“ — Składy główne: Warszawa, Gebethner i Wolff; Kraków: G. Gebethner i S-ka. — Stron 76. (C. d. n.).

Wydawca: **Józef Krobicki** ul. Mazowiecka 3. Redaktor odpowiedzialny: **Piotr Ambroziewicz**.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.